

Odra

Wrocław
07/08-2009
M. / Nr 7/8

Jacek Sieradzki

ZBOMBARDOWANI

– Puk, puk.
– Kto tam?
– Otworzę, sprawdzę... A nie... Myślałam, że
to przyszła II wojna światowa.

Dorota Masłowska, *Między nami dobrze jest*

Wzięty reżyser młodego pokolenia powiada w niedawnym wywiadzie, że idąc ulicami Warszawy, ma przed oczami ruiny i dokładnie wie, co na którym rogu zdarzyło się podczas okupacji. Patrząc na współczesne miasto, widzi pustkę, śmierć, groby, zagładę, ruinę cywilizacji. Tej wiedzy nie czerpie, rzecz jasna, z doświadczenia: nabył ją z relacji, lektur, rozmów. A jednak apokaliptyczny obraz, jaki stworzył, jest mu wyraźnie tak niezbędny – do samo-się-skonstruowania, do ułożenia sobie skali wartości – że całkowicie przestania widok wzięty z empirii. Mitologizuje go. Z-marmurza, jak by powiedział zapomniany wieszcz.

Idąc tymi samymi ulicami Warszawy, wspominał widziane w dzieciństwie rzeczywiste resztki ruin: ściany nieistniejących kamienic, murki, bruki, szyny donikąd. Ale umiem patrzeć tylko ze złością, jak to wszystko, psiakrew, koślavo odbudowano: szarobury socjalizm zbrzydził cały obraz, a radość nie kiczowaty kapitalizm nierzadko dobija pejzaż. Gdyby zaś tymi ulicami siedł mój niezujący ojciec, z pokolenia, które morze ruin zdeptało własnymi nogami, które odebrało od wojny hiobową lekcję pozbawienia wszystkiego – pewnie po prostu cieszyłby się z pokorą, że po krzywym trotuarze da się chodzić, coraz lepszym i mniej śmierdzącym autobusem jeździć, w pięknych domach mieszkać. O koszmarze powoli zapominać, w codziennym życiu go roztopiać, anihilować.

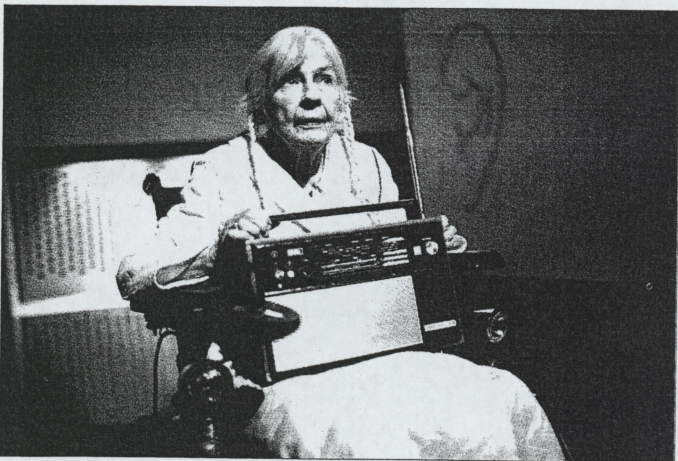
A tu proszę: odpychany konkret wojny wraca z drugiej strony, *via imaginarium* młodszych pokoleń. Jako fantom. Absolutyzowany i ideali-

zowany – jakby to ostatnie słowo w ogóle dawało się dopasowywać do koszmaru!

■ MARCHEW W SCHRONIE

Gdy bierze się do czytania głośną sztukę *Między nami dobrze jest*, ma się oczywiście nadzieję, że trzeźwość i poczucie humoru Doroty Masłowskiej stanowiąć będzie skuteczną zapórę przed przesadną wzniosłością. Owszem, postać zwana Osowiałą Staruszką na wózku inwalidzkim ma tu specjalny status: jej jedynej autorka ofiarowuje chwilę wzruszenia, gdy okruchy wspomnień z września 1939 zbiegną się w wyrazisty, bogaty w szczegóły, mocny obraz. Poza tą sekwencją starsza pani pozostaje jednak, by tak rzec, pełnoprawną członkinią koszmarnego wielopokoleniowego panopticum, gdzie nikt nikogo nie rozumie i nie słucha, wszyscy kręcą się w wirach własnych obsesji, klepią w kółko te same mantry, zasłyszane lub wyprodukowane przez stępsy mózg. Przez paniusie w średnim wieku przemawiają reklamy, przez Małą Metalową Dziewczynkę – młodzieżowe głuptactwo, przez celebrytów – telewizyjny sznyt, a przez Osowiałą Staruszkę – druga wojna światowa ze swoim wiecznym „pamiętam”. Co brzmi, rzecz jasna, szlachetniej, ale w ostatecznym rachunku jest równie wsobne, mechaniczne, niekomunikatywne i jałowe. Tak to przynajmniej wygląda w lekturze.

Bo w teatrze słowo ciałem się staje i ciało ulega. Grzegorz Jarzyna zaprosił do roli Osowiały Staruszki cudowną Danutę Szaflarską, babcię-ciepło, babcię-mądrość, babcię-autorytet, babcię, której każdy chciałby być wnukiem. I która samym spojrzeniem wyklucza swą postać z porządku groteski. Zatem możemy wyśmiewać umysłową ciasnotę sierotek po PRL-u, artystowskie nadęcia, pustotę siusiumajtki, ale z nestorskich „I wtedy wkroczyli Niemcy” wara sobie drwić! Spazmy pamięci, w druku obsesyjnie-kające, w spektaklu nabierają wagi, pęcznieją. Reżyser dodatkowo je monumentalizuje finałowym obrazem: na ekranach-ścianach sceny wyświetlane są zdjęcia płonącej Warszawy, w które komputerowi animatorzy wgrywają rozmaite gadgety współczesnego życia – mażnięte, zaszkiecowane, rachityczne. Rażąco mało ważne



wobec dotkliwości zniszczeń! U Masłowskiej była jeszcze ta absurdałna myśl, że skoro babcia zginęła w 1939, to nie zdążyła urodzić mamy i cała ta upiorna rodzinka nie istnieje – jest abstraktem, widziadłem. W widowisku koncept ów przegrywa jednak z sugestywnością obrazu. I wychodzi, że głównym punktem odniesienia dla współczesnych bełkotów i głupot jest nadal... klęska wrześniowa. Sprzed siedemdziesięciu lat!

Jakie to łatwe: mieć na podorędziu wytrych-pointę, odwołanie do historii, które pomnikowością zamyka usta sceptykom. Dorota Masłowska, śmiejem podejrzewać, musi czuć ten fałsz; wie, że o żadnej własnej traumie jej, dwudziestoparolatki, nie może być mowy. Coś chachmęci w wywiadach o odkryciu na swoim ciecie cudzych blizn, o wojnie otrzymanej w *spadku*, *we krwi* i o tym, jak przekazuje swemu dziecku schematy, które babcia wykształciła, jedząc w *schronie* *zgniłą marchew*. Chciałbym widzieć, jak młodsza i starsza Masłowska kulą się pod wyimaginowanymi bombami na śniadaniu w warszawskiej kuchni, AD 2009. Jedno buchnięcie śmiechem przekułoby przecież na zawsze ten balonik.

■ GALOPEM NA ŁÓŻKACH

Drugą wojnę światową usilnie wciągano za PRL-u – przemocą, rzecz jasna – na listę wspólników propagandy. Trauma okupacyjna była przecież jednym z nielicznych obszarów, gdzie oficjalna ideologia miała szansę zejść się z rzeczywistymi odczuciami społecznymi, zyskując przy okazji jaką taką legitymizację. Skutkiem tego jednak pewne tematy, klisze zachowań zostały – w oczach pokoleń znękanych tępotą politruków – jakoś skażone, zbrudzone. W pomieszanu patrzyłem parę lat temu, jak Jan Kłata z niekłamaną wściekłością i pasją odkrywa hekatombę Woli podczas powstania warszawskiego i zestawia ją z dystygowanym wywiadem, jakiego kat tej dzielnicy udzielił po latach reporterowi w swym

eleganckim, zachodnio-niemieckim mieszkaniu. Myśmy ten wywiad z generałem Reinefarthem tłukli na lekcjach wychowawczych do zdechu i mdłości.

Ale Kłata nie tłukł i nie można mieć o to do niego pretensji. Po odzyskaniu niepodległości tematy nadużyte przez komunistyczną propagandę, w tym i tamta wojna, znikły z horyzontu zainteresowań. Znikły

z pewnością nazbyt radykalnie, raniąc wielu, dla których był to jeden ze światopoglądowych fundamentów: wahadło wychyliło się zbyt daleko i jest rzeczą naturalną, że wraca równie zamasyście. Tylko czy doprawdy ów powrót musi się dokonywać na poziomie pojęć tak horrendalnie uproszczonych? Jaki sens pytać dzisiejszych małolatów, czy gdyby żyli w czasach powstania warszawskiego, to by do niego poszli? I czy pseudonim obraliby sobie z *Trylogii*, powtarzając gest Kmiciców, Skrzetuskich, Wołodyjowskich?

Mitotwórczą aktualność arcy powieści Sienkiewicza wspomniany Jan Kłata postanowił sprawdzić na scenie, budząc samym przedsięwzięciem wielkie zainteresowanie, udowadniając zatem, że trafnie stawia problem. Gorzej z narzędziami weryfikacyjnymi. Inscenizator sięgnął po patent stosowany z lubością już od debiutu, od *Uśmiechu grejpruta*. Bierzymy temat i przez trzy czwarte widowiska robimy z niego wszystkie jaja, jakie przyjdą nam do głowy. Poddajemy go ogniowej, okrutnej, bezwzględnej próbie ośmieszenia. Po czym na koniec odwracamy nastrój: przypominamy ubawionym po pachy widzom, że nie wszystko godzi się wyśmiać. Tak właśnie przeczytana *Trylogia* jest w Starym Teatrze rytuałem odgrywanym w zamienionym w lazaret kościele przez grupę Polaków postarzałych, poranionych, biednych i, dalibóg, niepięknych. Szarżujących w świat dzikim galopem na sprężynujących łóżkach. Grzeszących na potęgę mizoginizmem, żydożerstwem, ksenofobią, narcyzmem i samolubstwem. Zbaraż może tu być naparząnką na poduchy, Kmicic wabi Radziwiłła giętkim ciałem (Krzysztof Globisz, a jakże!), Matka Boska Częstochowska rączką wysuniętą przez otwór w złotej koszulce czochra swoich rycerzy. Do czasu. W finale Andrzej Kozak, dotąd śmieszny staruszek-safandula-Wołodyjowski, dyskretnie i ciepło mówi do swej Basi o świętych powin-

żyć dla niego, najbliższego, rodzonego. Ocalona Ryfka, dziś elegancka pani, pyta, czy ma przeprosić za to, że przeżyła. Z trudem trzymane w ryzach grzecznych manier, zdławione słowa syczą na tle rozdzierających obrazów gwałtu i mordy. Groza chwyta za gardło.

Chwytałaby. Gdyby Warlikowski Andrzejowi Chyrze nie pomalował ust w clownowski grymas i nie kazał wykrzykiwać kwestii prowadzącego uroczystość sędziego – jakichś dodatkowych pytań, komentarzy – tonem przesadnie emfatycznego, tandetnego konferansjera. Już mniejsza, że taki sposób piętnowania świata za niedorastanie do skali problemu zdaje się niegodnie naiwny. Niestety jest sam pomysł uzupełniania – aktorską groteską – sekwencji, w której każde dopowiedzenie jest zbędne, każda kropka nad „i” niepotrzebna.

No tak, ale gdyby reżyser nie włączył jakiegoś widowiskowego dopalacza, gdyby nie próbował zasugerować formą wykonania uniwersalizującego charakteru opowieści – to spoiwo łączące poszczególne części (*A)polonii*, i tak wrażliwe, sproszkowałoby się ostatecznie. I stałoby się już zupełnie oczywiste coś, co można było podejrzewać od początku: że gdy druga wojna światowa puka do drzwi, to nie po to, by stanąć wśród marmurowych pomników, żeby wpisać się w mitologię, choćby ofiarne. Zbyt jest na to splątana, niejednoznaczna, nieinstruktywna. I zbyt nieopodatkowana na fałsz patosu, którym wszelkie mitologizacje obrastają właściwie automatycznie. (Jeśli nie w samej robocie scenicznej, to w egzaltowanych komentarzach, gdzie szczególną zasługę zdaje się mieć mój przyjaciel Drewniak, którego za zdanko o dzieciach Korczaka, co z Treblinki czwórkami do nieba szły, niech Pan Bóg kocha).

A pierwszą wyczuloną na teatralną natrętność z-marmurzenia koszmara winna być przecież sama Hanna Krall. Miłośniczka teatru Warlikowskiego, ale i pisarka, która dokumentując zagładę, skreśla każdy zbędny przymiotnik, każde słowo, które miałoby być niekoniecznym dopowiedzeniem. W której relacjach fakty mają mówić same, bez podkreślania point grubym flamastrem i bez dopowiadania wszystkiego do końca. Współautorka *Zdążyć przed panem Bogiem*, gdzie z Markiem Edelmanem tak nieprawdopodobnie sugestywnie uczyli, że w okupacyjnym losie tamtych lat nie było żadnego marszu czwórkami do nieba, żadnego emfatycznego wybierania godnej śmierci – i żadnej ofiary na antyczną miarę. Tylko strach, zdech i upodlenie, przed którymi ludzie bronili się, jak umieli, wysokimi i niskimi sposobami. Tylko

koszmar bólu i bezsilności, w którym zdarzał się i heroizm, ale w którym nie było niczego powabnego, nawet w najprzyzwoitszym, najrzetelniejszym sensie tego słowa.

Zagłada musi w pewnym momencie przyjść do każdego polskiego twórcy, bo to jest chyba najbardziej polski temat, prawda? – mówi lekko zaczepnie Warlikowski w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”. Cóż, może by się dał namówić na poprawkę, że tematem winno być raczej całe doświadczenie wojenne, którego zagłada jest jednym z głównych i potwornie bolesnych rozdziałów. Ale tak, nie ma się co dziwić: puk, puk, kto tam?, druga wojna światowa staje u progów Krzysztofa Warlikowskiego, Jana Klaty, Doroty Masłowskiej, Grzegorza Jarzyny, Michała Zadary. Niesie ze sobą pytania, rozterki, bóle, traumy, wątplenia i depresje, wyzwania i oczekiwania, które dają po prostu wiedzę, niekiedy straszliwą wiedzę o nas, wczorajszych i dzisiejszych. Niepodobna tej bynajmniej nie Osowiej Staruszki wyprosić za drzwi, nie miałoby to zresztą sensu. Gdy jednak siedemdziesięciolatka chce być wciąż głównym punktem odniesienia dla współczesnych, gdy epatuje zgranyymi i pełnymi uproszczeń, odwiecznymi kliszami (o ileż atrakcyjniejszymi, trzeba przyznać, od mdłej papki codzienności), gdy fantomatyzuje wyobraźnię późnych wnuków – wypada w którymś momencie szepnąć: hola. I brać się za zdroworozsądkową demilitaryzację.

Jacek Sieradzki

Dorota Masłowska: *Między nami dobrze jest*.
Reżyseria: Grzegorz Jarzyna, scenografia: Magdalena Maciejewska, kostiumy: Magdalena Musiał, reżyseria światła: Jacqueline Sobiszewski, opracowanie muzyczne: Piotr Domiński, Grzegorz Jarzyna. Prapremiera w TR – Warszawa 26 marca 2009.

Trylogia według Henryka Sienkiewicza. Dramaturgiczne opracowanie tekstu: Jan Kłata i Sebastian Majewski, reżyseria i opracowanie muzyczne: Jan Kłata, scenografia i światło: Justyna Łagowska, kostiumy: Mirek Kaczmarek, choreografia: Maćko Prusak. Premiera w Starym Teatrze w Krakowie 21 lutego 2009.

(A)pollonia na podstawie tekstów Ajschylosa, Johna Maxwella Coetzego, Eurypidesa, Hanny Krall, Jonathana Littella i innych. Adaptacja: Krzysztof Warlikowski, Piotr Gruszczyński, Jacek Poniedziałek, reżyseria: Krzysztof Warlikowski, scenografia i kostiumy: Małgorzata Szczęśniak, muzyka: Paweł Mykietyn, Renate Jett, Piotr Maślanka, Paweł Stankiewicz, dramaturgia: Piotr Gruszczyński, reżyseria światła: Felice Ross, wideo: Paweł Łoziński, Kacper Lisowski, Rafał Listopad. Premiera w Teatrze Nowym w Warszawie 16 maja 2009.